

Cezary Harasimowicz

Mirabelka



ZIELONA
SOWA

Ilustracje
Marta Kurczewska

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2013

www.zielonasowa.pl

Mirabelka



Autor: Cezary Harasimowicz
Ilustracje: Marta Kurczewska
Redaktor prowadzący: Anna Kubalska
Redakcja: Anna Włodarkiewicz
Korekta: Jolanta Spodar
Skład i DTP: Kamil Pruszyński

Wydawnictwo Zielona Sowa serdecznie dziękuje autorom i spadkobiercom
za udostępnienie fragmentów utworów do tej publikacji:

s. 119 *Czerwony autobus* – muzyka Władysław Szpilman, słowa Kazimierz Winkler; s. 133 *Pójdę na Stare Miasto* – muzyka Władysław Szpilman, słowa Edward Fiszer; s. 154, 156, 157 *Dziwny jest ten świat* – muzyka Czesław Niemen, słowa Czesław Niemen; s. 165 *Przeżyj to sam* – muzyka Grzegorz Stróżniak, słowa Andrzej Sobczak; s. 178 *O! nie rób tyle hałasu* – muzyka Marek Jackowski, słowa Olga Jackowska

© Copyright by Cezary Harasimowicz, 2018
© Copyright by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2018
© Copyright by The Estate of Kazimierz Winkler, 2018
All rights reserved

Wydanie I

ISBN 978-83-8073-771-6

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl

Cezary Harasimowicz

Mirabelka



Ilustracje: Marta Kurczewska

ZIELONA
SOWA



Mojej kochanej mamie





Ja to mam szczęście! Naprawdę. Nie każdy ma takie szczęście. Mam szczęście, że żyję. I mam nadzieję, że będę długo, długo żyła. Pochodzę z rodziny, w której żyje się wyjątkowo długo. Moja mama ma już bardzo dużo lat i ciągle rodzi dzieci. Niestety, nie wszystkie z nich... Ech, przecież nie warto zaczynać opowieści od smutnych spraw, prawda? W każdym razie mnie się udało. Jestem na tym pięknym świecie i mam nadzieję, że będę miała dużo dzieci i dużo radości.

Mówią, że dajemy ludziom sporo szczęścia, bo jesteśmy słodkie. Podobno ta słodycz bierze się ze słońca. Im więcej słońca, tym więcej w nas słodyczy. Ale ja sobie myślę, że nie tylko z tego powodu jesteśmy słodkie. Bo przecież tu, gdzie stoję, nie dociera aż tak wiele słonecznych promieni. Wprawdzie od kwietnia (no, może od marca) do września często świeci słońce, ale potem przychodzą deszcze, dmą wiatry, robi się zimno, aż w końcu zaczyna padać śnieg i mróz obejmuje wszystko swoim zlodowaciałym zimnem. Zatem słońce słońcem, ale w naszym przypadku chyba jeszcze o coś innego chodzi. O co? Żadna tajemnica. Po prostu ludzie nas

kochają. A my kochamy ludzi i ta miłość tak jakoś wzajemnie się przenika.

Mówię wam, to wspaniałe uczucie, kiedy ludzie przechodzą obok nas na wiosnę i z uśmiechem patrzą, jak po zimie zaczynamy budzić się do życia i kwitnąć. Najbardziej radują się dzieci. Patrzą na nasze białe kwiatki gęsto porastające gałęzie i cieszą się, że za parę miesięcy na ramionach mojej mamusi pojawią się żółte kulki, z których będzie kompot albo nadzienie do ciasta.

Jest jeszcze jedna ciekawa sprawa. Posiadamy taką umiejętność, że ho, ho. Powiem wam w największym sekrecie, o co chodzi. Rozumiemy ludzką mowę. Ba, z niektórymi ludźmi możemy się nawet dogadać. Ale jest pewna zasada. To muszą być dzieci. Bo dzieci mają w sobie coś... Nie wiem, jak to określić... No taką... Hm. Naprawdę nie potrafię wam tego wyjaśnić. Takie coś po prostu. O, na przykład ta Dorka, która mieszka niedaleko, na Wałowej, w kamienicy pana Friedmana. Na ulicy Wałowej szyje się futra, dużo jest tu krawców od futer, czyli kuśnierzy.



Jest kwiecień. Słońce dziś mocniej grzeje. Cieszę się. W korzeniach zaczęły mi buzować soki, które budzą mnie do życia, napełniają dobrym humorem. Z ramion wystrzeliły mi już pierwsze nieśmiałe listki. Mama patrzy na mnie i się uśmiecha. Ja się też

uśmiecham, chcę coś do mamy powiedzieć, ale nagle słyszę obok znajomy głos:

– Cześć.

To Dorka.

– Cześć, Dorka – odpowiadam.

Dorka wygląda dziś bardzo elegancko. Ma na sobie płaszczyk z takiej czerwonej tkaniny (niestety, nie wiem z jakiej, bo przecież nie znam się na tkaninach), a spod tego płaszczyka wystaje koronkowa sukienka. Wiem, że to są koronki, bo już mi kiedyś Dorka wyjaśniła, co to takiego.

– Co słyszać? – pyta Dorka.

Dorka lubi zadawać pytanie: „Co słyszać?”, bo wie, że ja zawsze odpowiem jej tak samo:

– Zależy, gdzie ucho przyłożyć.

– A gdzie mam ucho przyłożyć? – pyta Dorka, choć wie, że ja zawsze odpowiem jej tak samo:

– Gdzie chcesz, Dorka.

I wtedy Dorka przykładła ucho do pnia mojej mamy. Do tego momentu za każdym razem ma miejsce taki sam zabawny rytuał, ale potem to już jest różnie. Zależnie od okoliczności. Niekiedy Dorka mówi, że słyszać, jak po drugiej stronie kuli ziemskiej wybucha wulkan, innym razem oznajmia, że urodziło się dziecko i strasznie się z tego powodu drze albo że na ulicy Marszałkowskiej jest defilada wojskowa i żołnierze tupią obcasami.



Dorka zawsze trzyma ucho przy szorstkim pniu mojej mamy, jakby się chciała przytulić, i uważnie słucha. A tam, w pniu, w zależności od pory roku, dnia i pogody, naprawdę słyszą różności. Bo my mamy taką umiejętność, że bardzo łatwo przenosimy wszelakie dźwięki. To dlatego z drzew robi się instrumenty muzyczne. Na przykład skrzypce, na których tak pięknie gra pan Izaak, ten, który mieszka na Nalewkach dziesięć róg Świętojerskiej czterdzieści cztery. Bardzo lubimy z mamą, kiedy pan Izaak wygrywa na tych



skrzypcach różne melodie. Czasami wesołe, czasami smutne. Bo pan Izaak grywa i na weselach, i na barmicwach, i na pogrzebach. Kiedyś podobno grał w Filharmonii Narodowej, ale już tam nie gra, bo przeszedł na emeryturę. Ludzie mówią, że pan Izaak tak gra na skrzypcach, że zmienia ludzkie dusze. A do tego trzeba mieć tak wielki talent, jaki ma pan Izaak.

Lubimy też z mamą słuchać melodii płynących z radia państwa Stoltzmanów z pierwszego piętra. Radio to taka grająca skrzynka, przez którą często są nadawane różne audycje, wiadomości, koncerty, słuchowiska i pogadanki. A przed okrągłą godziną płyną z tej skrzynki bardzo piękne dźwięki pana kompozytora, który się nazywa Szopen, czy jakoś tak. A w południe trębacz gra hejnał.

Ale wracajmy do Dorki, a właściwie do jej ucha, do którego płyną teraz dźwięki z pnia mojej mamy.

– Byczo – mówi Dorka.

– Co byczo? – pytam, bo lubię, jak się konkretnie sprawy stawia.

– Bycze dźwięki.

Lubię to słowo „byczo”. Dorka nauczyła się go w szkole powszechnej, która mieści się w alei Szucha. Dorka musi dojeżdżać na lekcje autobusem, i to jest męczące, ale rodzice nie chcieli posłać swojej córki do innej szkoły, gdzieś bliżej Nalewek.

– To znaczy? Mów jaśniej, co ci byczo brzmi, Dorka.

Zaczynamy się droczyć. Lubię się droczyć z Dorką i Dorka lubi się droczyć ze mną. Tak już mamy. Dorka poprawia kolorowe koraliki, które wysmyknęły się spod kołnierza czerwonego płaszczyka, i wreszcie mówi konkretnie:

– Słysząc, jak soki płyną z korzeni do góry.

– Wiadomo. Mamy wiosnę.

– No... – odpowiada Dorka i uśmiecha się bardzo jasnym uśmiechem. – Już zaczęłyście kwitnąć.

– Tylko żeby przymrozków nie było – odpowiadam z odrobiną smutku.

Na to Dorka, bardzo zdecydowanym tonem, stwierdza:

– Ty to zawsze musisz sobie ponarzekać.

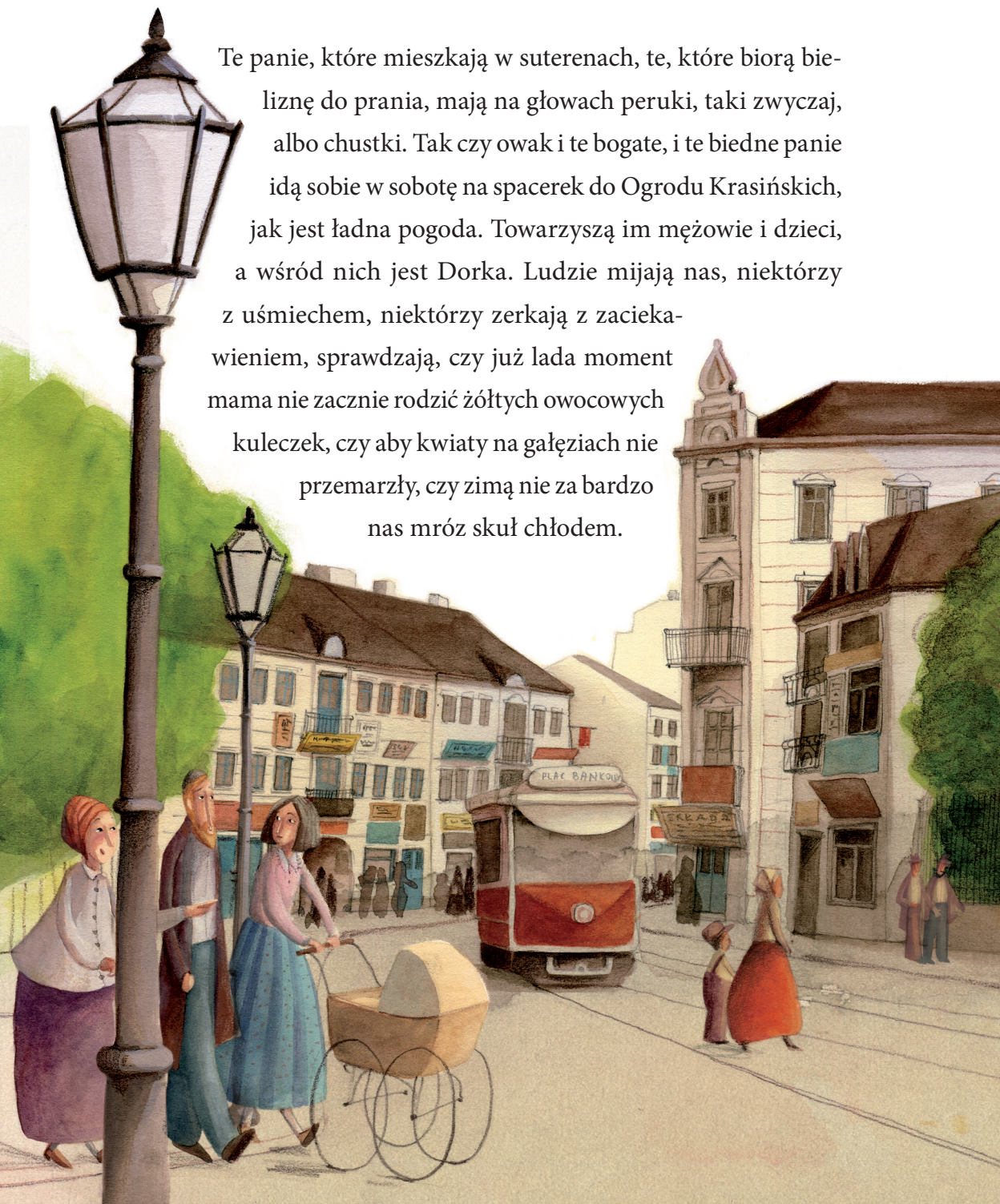
– Bo się boję, że jak będą przymrozki, to nam kwiaty zmarzną i nie będzie w tym roku owoców.

– Nie ma mowy o żadnych przymrozkach – mówi Dorka z naciskiem. – Tak twierdzi pan Friedman, a on zna się na pogodzie.

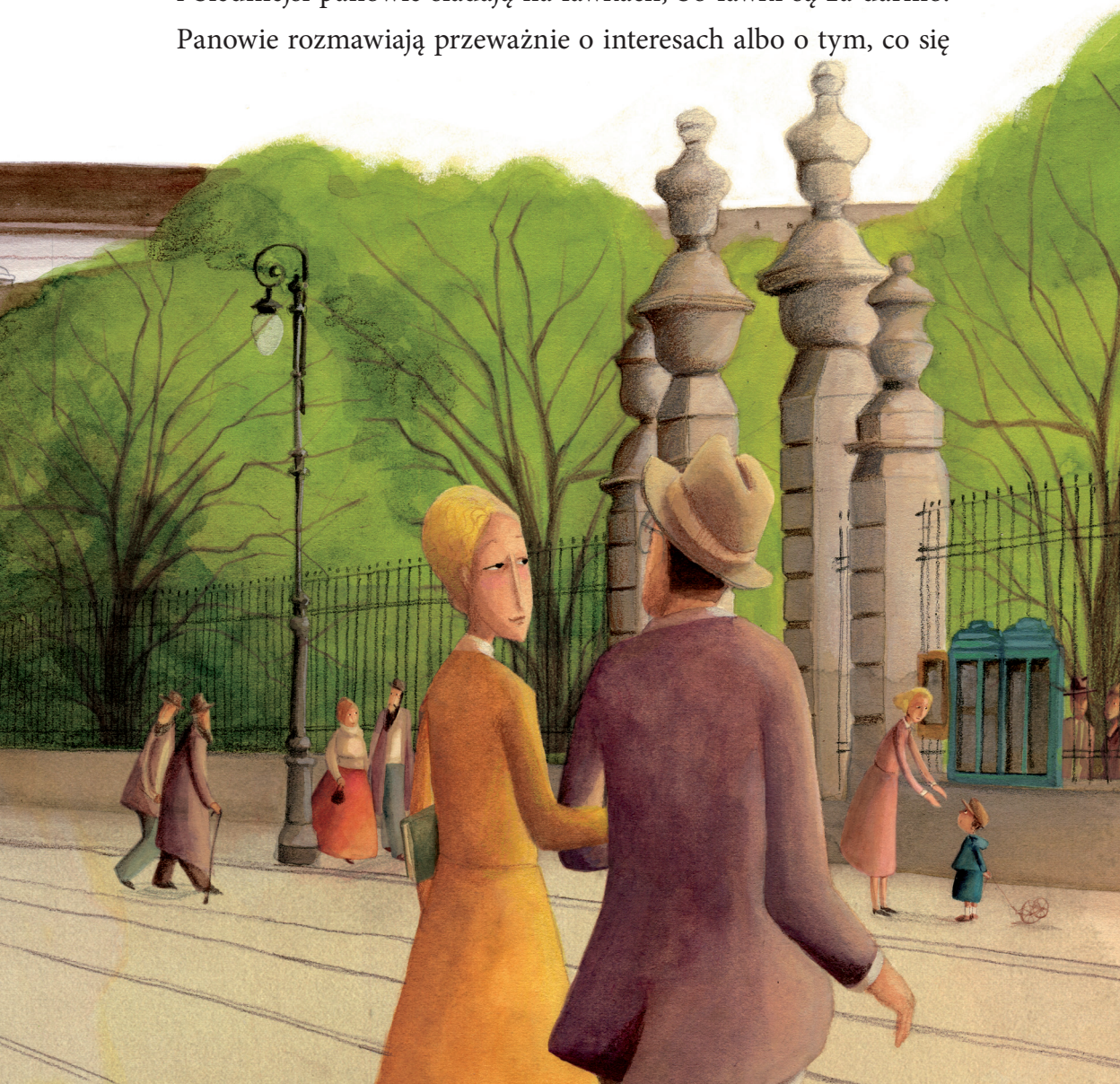
Aha, muszę wam powiedzieć, kto to jest pan Friedman. Otóż pan Friedman jest właścicielem kamienicy, w której mieszka Dorka. To bardzo bogaty człowiek. A jego kamienica znajduje się niedaleko stąd. Jest spora i ma bardzo piękne podwórkó. Mówi się, że to najpiękniejsze podwórkó w całym mieście! Mieszkać „na podwórku pana Friedmana” to jest coś! Mówię wam, zielenią się tam trawniki z soczystą trawą, rosną lipy, które w maju i czerwcu pachną miodem, są też grządki z kwiatami (głównie pelargonie). A jakie bramy ma ta kamienica! Jest ich aż sześć. I wszystkie żelazne, bogate. Dumne. Gdy wieczorem zamyka je stróż, pan Goldman, to te bramy nie mogą się oprzeć, żeby się całej okolicy nie pochwalić, jakie to są zacne i bogate. Bam! Bum! Bom! Roznosi się donośny dźwięk, niczym bicie dzwonu z niedalekiego kościoła Franciszkanów.

Panie, które mieszkają od frontu kamienicy, zawsze są pięknie uczesane, mają blond fale na głowie. Mama Dorki też ma taką fryzurę. Ale nie wszystkie panie z tej kamienicy mają platynowe włosy.

Te panie, które mieszkają w suterenach, te, które biorą bieleznię do prania, mają na głowach peruki, taki zwyczaj, albo chustki. Tak czy owak i te bogate, i te biedne panie idą sobie w sobotę na spacer do Ogrodu Krasińskich, jak jest ładna pogoda. Towarzyszą im mężowie i dzieci, a wśród nich jest Dorka. Ludzie mijają nas, niektórzy z uśmiechem, niektórzy zerkają z zaciekawieniem, sprawdzają, czy już lada moment mama nie zacznie rodzić żółtych owocowych kuleczek, czy aby kwiaty na gałęziach nie przemarzły, czy zimą nie za bardzo nas mróz skuł chłodem.



A potem, jak już jest naprawdę ciepło, to mieszkańcy kamienicy pana Friedmana i innych kamienic siadają sobie na ławkach w parku. Te bogatsze panie i bogatsi panowie zajmują krzeselka, bo za siedzenie na krzesłkach trzeba płacić. A te biedniejsze panie i biedniejsi panowie siadają na ławkach, bo ławki są za darmo. Panowie rozmawiają przeważnie o interesach albo o tym, co się



dzieje na świecie. A panie – te od frontu kamienicy pana Friedmana – mają koronkowe rękawiczki i paluszkami odzianymi w te koronkowe rękawiczki przewracają strony książek. Bardzo dużo poezji czytają te panie.

– Pani Silberbergowa, ten Słowacki mnie zachwyca do łez.

– Pani Stoltzmanowa, pani się weźmie lepiej za naszą poezję. O taki Mendel Lewin, na przykład...

– Poezja to poezja. Jeden duch, jedno serce, jeden smutek i jedna tęsknota, pani Silberbergowa.

O, i tak się droczą panie zaczytane w poezji, od czasu do czasu rzucając oczkiem na białe łabędzie pływające leniwie po stawie w Ogrodzie Krasińskich.

Skąd ja to wszystko wiem? Skąd znam przekomarzanki tych pań? Hm, muszę wam powiedzieć, że my, drzewa, mamy dobry słuch. Rozmawiamy ze sobą zapachami i naszym tajemnym językiem. W Ogrodzie Krasińskich rosną kasztany. A kasztany, mówię wam, to już w ogóle mają arcywrażliwy słuch i potrafią po okolicy roznosić ploteczki oraz wiadomości. Ale ja chyba okropnie się rozgadałam, a miało być o Dorce i naszej wiosennej pogawędce...

– To mówisz, Dorka, że pan Friedman zna się na pogodzie?

– Zna się – odpowiada Dorka. – Pan Friedman zna się na wielu sprawach. Nawet na polityce.

– I pan Friedman zapewnia, że nie będzie przymrozków?

– Nie będzie – odpowiada z naciskiem Dorka, znów poprawiając niesforne koraliki na szyi. – Będziecie z tych kwiatków mogły rodzić owoce.

– Mhm – odpowiadam ze smutkiem.

Dorka natychmiast wyczuwa mój żal w głosie.

– Przepraszam. Ty jesteś jeszcze za mała, żeby rodzić.

– No tak... – wzdygam. – Ale mama mówi, że może już w przyszłym roku...

– Będzie fajnie, jak urodzisz – trochę tak niezręcznie pociesza mnie Dorka.

A ja chcę jak najszybciej zmienić temat i trochę się jeszcze podroczyć.

– Coś się tak dziś wystroiła, Dorka? – pytam.

– Bo dziś jest Pesach.

– Co takiego?

– Pascha. Święto Wiosny. Ważne święto. Idziemy z rodzicami do synagogi na Tłomackiem. Będziemy się modlić, to przecież trzeba być eleganckim, co nie?

– Modlić? – pytam.

– No rozmawiać tak specjalnie – dopowiada Dorka.

– Z kim?

Dorka rozgląda się po ulicy, by upewnić się, czy nikt nie usłyszy jej odpowiedzi. Mówi szeptem:

– Z Jahwe.

– Z kim?

– Z Panem Bogiem – wyjaśnia jeszcze ciszej Dorka.

– Dlaczego mówisz szeptem? Co to za tajemnica? – dopytuje bardzo, ale to bardzo zaciekawiona.

A Dorka nerwowo poprawia kolorowe koraliki i szepcze jeszcze ciszej (jakby zawiął wiatr od Wisły, to już w ogóle by jej nie było słychać):

– Bo to jest ktoś tak ogromnie ważny, że nawet nie wolno wypowiadać jego imienia. Tak mówi rabin Steinberg. A on jest bardzo mądry.

– Aha – odpowiadam, chociaż nie do końca rozumiem. I jakoś tak na wszelki wypadek zmieniam temat: – Fajne masz te koraliki.

– A to od panów braci Alfusów dostałam. Ładne, co? Ale na nitkę to już sama musiałam sobie nawlec.

– Aha – odpowiadam znowu.

Muszę wam wyjaśnić, że panowie bracia Alfusowie mają tuż obok na Nalewkach dwadzieścia cztery małą fabryczkę strojów karnawałowych. No coś fantastycznego, mówię wam. Cekiny, strusie pióra, hafty i kolorowe koraliki, które się przyszywa do tych kostiumów na karnawał i na inne bale. Bardzo bym chciała, żeby mi kiedyś ktoś na gałązce powiesił takie koraliki,



jakie ma Dorka na szyi. A panowie Alfusowie są przemili, chociaż wyglądają groźnie, bo są bardzo, ale to bardzo wysocy. Często przechodzą obok nas, uśmiechając się. Żona jednego pana Alfusa robi latem kruchy placek z owoców mojej mamy. Pachnie wtedy naszą słodyczą na całą okolicę. Właśnie. Zapachy...

Kiedy Dorka z rodzicami wróci z synagogi na Tłomackiem i w ogóle jak każdy mieszkaniec Wałowej, Nalewek, Świętojerskiej i Franciszkańskiej wróci po tych swoich modlitwach, to z okien wszystkich domów wypłyną cudowne aromaty, bo ludzie będą mieli seder, czyli uroczystą kolację. Na stołach położą macę, taki specjalny kruchy chleb, i przykryją ten kruchy, cienki chleb serwetką. Ci bogatsi państwo będą spożywać pieczony barani udziec, a biedniejsi będą jeść skrzydełka kurze. A wszyscy poczęstują się jajkiem posypanym popiołem, będą jeść tarte jabłka, kruszone migdały, orzechy i będą pić pachnące wino. Te potrawy są podobno arcyważne. Bo pokarm, jak mówi moja mama, nie jest ot taką sobie zwyczajną rzeczą. Bez pokarmu nie ma życia. No właśnie, gdyby ziemia i słońce nie dały mi odpowiedniego pokarmu, tobym była uschniętą pestką, jak reszta moich braciszków i siostr, z których nie wyrosły sadzonki. To dzięki pokarmowi jestem na tym pięknym świecie. Ale zapachy powędrują nad dachy naszej okolicy, mówię wam! Szkoda, że jestem jeszcze mała i nie potrafię tego lepiej opisać...

– Mamo, a kto to jest Bóg?

– To jest ktoś, kto sprawił, że jesteś mirabelką.



Minęło trochę czasu. To znaczy dla niektórych trochę, a dla mnie cała nieskończoność. Spytaście pewnie, dlaczego niektórym wydaje się, że czas biegnie szybko jak błysk pioruna, a inni są przekonani, że dni, noce, miesiące i lata ciągną się niczym nitka ze szpulki, którą mają w swojej szufladzie panowie bracia Alfusowie. Mojej mamie czas płynie bardzo szybko, bo moja mamusia jest już dorosła i przyzwyczaiła się, że rok ma swoje cztery pory. Gdy kończy się jedna, zaczyna się druga. Jest czas pęczniejących pąków, z których wykluwają się liście, potem przychodzi czas kwitnienia białych płatków, następnie puchną słodczą nasze owoce, a jeszcze później następuje taka pora, kiedy żółkną nam liście, a słodkie soki szykują się do spłynięcia w dół, do korzeni, aż w końcu nasze liście opadają i nagusieńkie czekamy na zimno, mróz i śnieg, i wtedy przysypiamy, żeby znowu obudzić się na wiosnę. Moja mama już wiele, wiele razy to przeżywała i przyzwyczaiła się do tego rytmu. Zauważyliście, że to, co przeżywa w swojej duszy i pamięci moja mama, zdołałam opowiedzieć wam w zaledwie jednym, choć bardzo długim zdaniu? No właśnie. A dla mnie cały ten czas jest wciąż czymś nowym. Dzieli się na ważne zdarzenia, wielkie sprawy. Na wiele zdań. Rok ma swoje cztery pory. A każda z nich jest ważna, długa i wyjątkowa. Najpierw jest czas pęczniejących pąków. Potem z pąków wykluwają się liście. Następnie przychodzi czas białych płatków. A potem pęcznieją na gałęziach owoce. Potem żółkną

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiekolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl